

Ślisz, Andrzej

"Erika zdradza tajemnice", Adam Ochocki, Łódź 1989 : [recenzja]

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 31/2, 107-109

1992

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

nieprawdopodobne kombinacje finansowe wydawców, pociągające często za sobą nagłe przeobrażenia polityczne wielu stojących przed groźbą upadku gazet.

Stałe borykanie się z kłopotami pieniężnymi i bezpośrednio podporządkowywanie się polityczne materialnym dysponentom było powszechnym zjawiskiem w prasie śląskiej lat 1922–1939. Ogromna jej część, nieustannie lawirująca na granicy bankructwa, miała też krótkotrwały żywot. Zdarzały się – jak podaje autor – i przypadki agenturalnego wykorzystywania prasy przez wywiad niemiecki.

Niezwykle interesujące dane dotyczące uwikłań polityczno-finansowych czasopiśmiennictwa w dwudziestolecie międzywojennym, jakie przytacza Długajczyk, pozwalają nie tylko historykom prasy spojrzeć na ten zbyt często pomijany problem głębiej, poważniej, bardziej wnikliwie. Niemniej w tej przydatnej książce przysłowiowe „drzewa” nadmiernie przesłaniają „las”. Ma oczywiście autor prawo do wyboru koncepcji studium, nad którym pracuje, ale mają też prawo czytelnicy spodziewać się, że znajdą w nim choćby hipotetyczne uogólnienia czy niechby nawet dyskusyjne syntezy, zwłaszcza gdy zgromadzone materiały zdają się na nie pozwalać. Piszący te słowa był właśnie takim czytelnikiem.

Andrzej Ślisz

Adam Ochocki, *Erika zdradza tajemnice*, Łódź 1989, ss. 287.

Dziennikarskie wspomnienia ukazują się rzadko i pozostawiają na ogół poczucie niedosytu. Pierwszy fakt w pewnym stopniu wyjaśniają statystyki śmiertelności w poszczególnych zawodach, które od lat nieodmiennie wskazują, że w życiu kończącym się średnio przed sześćdziesiątką brak czasu na rozpamiętywanie zebranych doświadczeń, osiągniętych sukcesów i jakże częstszych porażek. Drugi natomiast wydaje się być bardziej złożony, organicznie związany z charakterem i istotą tego – jak go nazwał Jerzy Surdykowski – „najsmutniejszego zawodu (od Łaby do Władystoku)”.

Pamiętniki seniorów dziennikarstwa z reguły są interesujące, kolorowe, zabawne, wiele w nich redakcyjnych anegdotek, profesjonalnych ciekawostek, komicznych sytuacji i dramatycznych przeżyć, w najbardziej ambitnych można znaleźć próby dania świadectwa prawdzie swego czasu. Trudno w nich jednak doszukać się głębszej refleksji nad samym zawodem, jego znaczeniem, rolą, miejscem w opisywanej rzeczywistości. Autorzy są zazwyczaj niezwykle wstrzemięźliwi przy podsumowywaniu własnego dorobku; poświęcając niekiedy nieco miejsca sprawom warsztatowym, prawie nigdy nie podejmują rozważań nad jego przydatnością społeczną, śladem, jaki mógł pozostawić w pamięci odbiorców, niewiele też mają do powiedzenia swym uczniom bądź następcom. Nie byłoby w tym nic zaskakującego, gdyby zawód ten składał się jedynie z techników informacji, mechanicznych przekazywaczy wiadomości, rutynowych mieszaczy słów, którzy z mniejszą lub większą wprawą i rzemieślniczą zręcznością zaspokajają ciekawość coraz bardziej wymagających czytelników, radiosłuchaczy, telewidzów. Ale tak przecież nigdy nie było i – miejmy nadzieję – nie będzie. Różne są, stale zresztą pączkujące, specjalności we współczesnej żurnalistyce zdominowanej przez postęp techniczny, różna też bywa skala talentu, ambicje, a i charaktery ludzi prasy, ale – przynajmniej od czasu *Areopagitiki*... Johna Milтона – oni to właśnie w swej najwartościowszej części odważnie występowali i stawali do walki w obronie wolności drukowanego słowa, domagając się przyznania im prawa opisywania świata, tak jak go widzieli, rozumieli, chcieli poprawiać.

Z aniołami łączą dziennikarzy podobno tylko pióra, uwikłani w małą i dużą politykę, uzależnieni od finansowych dysponentów, często, może nazbyt często, godzili się na moralnie podejrzane kompromisy, przekształcali w życiowych konformistów, z trudną po latach do pojęcia naiwnością i zapałem służyli totalitarnym systemom propagandowym, szukali osobistych korzyści i przelotnej popularności na stopniach władzy. Stare porzekadło głosi, że pomyłki lekarzy kryją cmentarze, a prawników mury więzień, natomiast błędy dziennikarzy krzyczą z pierwszych

stronic gazet. I może dlatego tak często odmawia się uznania ich dobrej woli czy przynajmniej intencji, i to nawet wówczas, gdy nie oni zdradzali idee, lecz bywało wręcz odwrotnie. Nerwowa, angażująca emocjonalnie, pełna napięć i konfliktów, w obłędnym pośpiechu wykonywana praca dziennikarska szybko niszczy ludzi, kto wie jednak, czy nie groźniejsze są dla nich skutki wewnętrznych rozdarć, jakie nieuchronnie z sobą niesie, a w wyniku których niejednokrotnie stają się psychicznymi wrakami, rozdygotanymi neurastenikami o rozbitej osobowości. Rozdarcie pomiędzy rzemieślniczym profesjonalizmem a swobodną twórczością, służebnością a służalcznością, opinią publiczną, która widzi w nich czasami „sprzedających pismaków”, a niekiedy szanowanych przedstawicieli społecznie niezbędnego zawodu, zmuszani do ciągłego weryfikowania swej przydatności, codziennym pisaniem bronią się w różny sposób. Stąd też chyba tak często spotykana w środowisku poza pseudocynika lub wiecznego prześmiewcy i wesółka, który wbrew wszystkiemu i pomimo wszystko z uporem pozostaje optymistą, wierzy w pożyteczność tego, co robi i zafascynowany jest pozornie atrakcyjnymi stronami zawodu.

Kilka tych nieskładnych uwag o problemie wartym poważnej dyskusji nasuwa trzeci tom wspomnień Adama Ochockiego, wydany przez Res humana w 1989 r. Pierwszy, poświęcony pracy autora w przedwojennych łódzkich pismach bulwarowych, wyszedł w 1980 r.; drugi — o jego perypetiach w latach 1939—1945 (*Raz, dwa, wzięli*), należy raczej do pamiętnikarstwa wojennego, niż dziejów czasopiśmiennictwa.

Adam Ochocki jest rasowym, rzutkim, pełnokrwistym dziennikarzem o wielkim doświadczeniu zawodowym i niespożytej energii, dynamice, pomysłowości. To właśnie tacy jak on, nie zawsze dostrzegani fanatycy zawodu, których rozgłos jest równie ulotny jak aktualność kolejnego egzemplarza gazety, są rzeczywistymi animatorami wszelkich środków powszechnego przekazu. Po powrocie w 1946 r. z wojennej tułaczki do rodzinnej Łodzi od razu podjął pracę w redakcji miejscowej popołudniówki „Express”, później w „Łódzkim Expressie Ilustrowanym”, a w końcu w „Karuzeli”, w której pełnił do emerytury obowiązki sekretarza. Temperament pisarski przy uniwersalności zainteresowań, a także talent satyryka połączony ze słabością do mowy wiązanej, pozwoliły mu na utrzymanie współpracy z wieloma, w tym ogólnokrajowymi, dziennikami i czasopismami. Uprawiał Ochocki wszystkie możliwe formy wypowiedzi dziennikarskich, próbował z powodzeniem pisania słuchowisk radiowych, fraszek, widowisk telewizyjnych, a nawet scenariuszy filmów dla dzieci. Niezwykle ruchliwy, dzięki darowi improwizacji, a i przebojowości, uczestniczył czynnie w setkach przeróżnych „akcji” i imprez, z których bodaj najbardziej efektowną i efektywną była wyprawa do Melbourne w 1956 r. na Igrzyska Olimpijskie.

Jest w *Ericie zdradzającej tajemnice* mnóstwo faktów i fakcików, bez znajomości których już dziś byłoby nie sposób odtworzyć pełnego obrazu powszednich zajęć, obowiązków, warunków pracy, atmosfery i stosunków panujących przez przeszło trzy dziesięciolecia w dużym, i to pozawarszawskim, ośrodku wydawniczo-prasowym oraz radiowo-telewizyjnym. Wiele miejsca w książce zajmują życzliwie skreślone charakterystyki przyjaciół, kolegów i znajomych autora (jedną z nielicznych ujemnych następnie publicznie sprostował), nawet o bruźdzących mu osobach (zazdroszczono Ochockiemu oczywiście nie tyle inwencji, ile wysokości honorariów) stara się pisać z podejrzaną, co prawda, ale dobroduszną. Szczególnie ładne, żeby powiedzieć wzruszające, jest przywiązanie autora do Łodzi — owego „Kominogrodu”, którego stał się wiernym, aczkolwiek może nazbyt patetycznym, kronikarzem. Fascynuje go powojenny rozwój tego miasta, porusza każde, choćby drobne cywilizacyjne osiągnięcie czy kulturalne wydarzenie. Ze zdumieniem odkrywa żłobki ulokowane w dawnych pałacach fabrykantów, z dumą śledzi, jak nowoczesne budownictwo wkracza do dawnych dzielnic nędzy i biedoty. Przypomina starą Łódź, pisze o jej zmieniającym się kołorycie, obyczajowości, mieszkańcach, o tragicznym losie ludności żydowskiej. Zrazu ulega powszechnemu zapałowi towarzyszącemu odbudowie kraju, z czasem staje się coraz bardziej krytyczny, chociaż — pozostając zawsze bezpartyjnym — generalnie akceptuje, jak można sądzić, powojenne przemiany ustrojowo-społeczne. Nie zajmuje się jednak nimi bliżej skupiając się na wykpiwaniu pleniących się nonsensów i absurdów w prasie, po 1948 r. beznadziejnie „schematycznej i nudnej”. Wspomina pokrętne łamańce „polityki prasowej”, bzdurne „zapisy” cenzury i groźne rozmowy w instancjach partyjnych, niedowarzone pomysły w rodzaju „współzawodnictwa międzyredakcyjnego”, wprowadzania „norm wydajnościowych” czy idiotycznej walki z tzw.

gwiazdorstwem, abominacją zwłaszcza w nim budził nałożony dziennikarzom ideologiczny kaganiec i wynikające z niego nakazy, jak np. szukanie natchnienia i niedościgniętych wzorów publicystyki w dziełach klasyków marksizmu. Buntowała się dziennikarska natura Ochockiego przeciwko łamaniu podstawowych zasad i reguł profesji, ale w protestach raczej nie przesadzał, uporczywie szukając i znajdując wciąż nowe możliwości atrakcyjnego wypowiadania się na gazetowych szpaltach. O owych złych doświadczeniach pisze jednakże bez zjadliwości i żółci, w konwencji żartu, dowcipu, groteski. W ogóle poczucie humoru pozwalało mu — jak się zdaje — zachowywać równowagę ducha w niewesołej rzeczywistości, a nawet pozornie dostosowywać się do reakcji otoczenia, jak owe okrucy tytoniu wciskane do oczu w godzinach obowiązkowej żałoby po śmierci Stalina. Sporadyczne też są w jego książce gorzkie wyznania w rodzaju: „Pisząc pokornie entuzjastyczne artykuły w przetartych na kolanach spodniach, zamykając oczy na dziejące się niesprawiedliwości i błędy, staliśmy się [...] tubą, nie będąc sumieniem narodu” (s. 112).

Dla historyka czasopiśmiennictwa omawiany pamiętnik stanowi wartościowy, źródłowy przyczynek do poznania dziejów prasy w PRL, ale już wątpliwe czy ułatwi mu zrozumienie, w jaki sposób i jakim kosztem tysiące uczciwych, zdolnych, rzetelnych dziennikarzy współtworzyło niedobry, monopartyjny system prasowy wydawcy stawiającego siebie ponad odbiorcę. Na pytanie to różne zapewne padną odpowiedzi, jednak próżno ich szukać w pogodnych, dowcipnych, zabawnych wspomnieniach Adama Ochockiego.

Andrzej Ślisz

Rafał Habielski, *Niezlomni, nieprzejednani. Emigracyjne „Wiadomości” i ich krąg 1940–1981*, Warszawa 1991, ss. 244.

W polskiej nauce historycznej wyraźnie ożywiły się ostatnio zainteresowania dziejami ideologii, myśli politycznej, ich uwarunkowaniami, inspiracjami, kierunkami przeobrażeń, funkcją w życiu politycznym. W tym kręgu zainteresowań mieszczą się również badania nad kompleksem problemów, związanych z działaniami — po wrześniu 1939 r. — na rzecz odzyskania, a później utrzymania stanu posiadania Państwa Polskiego. Do takiego nurtu badań należy wydana staraniem Państwowego Instytutu Wydawniczego książka Rafała Habielskiego, stanowiąca nieco zmodyfikowaną wersję rozprawy doktorskiej tego autora, powstałej w Pracowni Historii Czasopiśmiennictwa Instytutu Badań Literackich PAN. Tytuł książki w pełni odpowiada pomieszczonej w niej treści. Traktuje ona mianowicie o ukazującym się na wychodźstwie przez prawie 40 lat periodyku, redagowanym przez Mieczysława Grydzewskiego, „Wiadomościach”, w okresie wojny wychodzących pod tytułem „Wiadomości Polskie”. Rafał Habielski przedstawił ów tygodnik w jego wymiarze instytucjonalnym, wykreowanym przez wielość i różność zespołu piór współpracowników pisma, autorów nierzadko zupełnie odmiennych orientacji. „O »Wiadomościach Literackich« (1924–1939) można powiedzieć — przypomina autor — że były pismem zarówno pokolenia wchodzącego w życie wraz z odzyskaniem przez Polskę niepodległości, jak i swego rodzaju formacji intelektualnej. W »Wiadomościach Polskich« (1940–1944) zabrakło tych wszystkich dawnych współpracowników, którzy zostali w kraju i z których wielu zginęło (Tadeusz Boy Żeleński, Emil Breiter i inni). Gdy »Wiadomości« bezprzymiotnikowe zaczęły ukazywać się w 1946 r., nie było już w nich również tych, którzy w 1945 r. opowiedzieli się za powrotem do kraju (Julian Tuwim, Antoni Słonimski, Ksawery Pruszyński). Grydzewski posiadał jednak wszystkie tajemnice doboru autorów, potrafiąc nie tylko przyciągać do współpracy, ale i stwarzać nowych krytyków, publicystów, pamiętnikarzy”¹. Ta szczególna „instytucja”, jaką były „Wiadomości”, skupiająca elitę intelektualną emigracji i wychodźczej inteligencji, stanowiła wyraźnie wyodrębnioną generację, ewoluującą wraz ze swym periodykiem, z wolna schodząc ze sceny z naturalnych

¹ Z listów do Mieczysława Grydzewskiego 1946–1966, wybór, wstęp i opracowanie Rafał Habielski, Londyn 1990, s. 6.